

krawęci



Anna Kajtochowa

**Anna Kajtochowa**

**KRAWĘDŹ**

**Oficyna Wydawnicza Związku  
Podbalan**

BIBLIOTEKA „NADSKAWIA”

Seria miniatur

*Pózycja wydana w porozumieniu  
z Towarzystwem Miłośników Ziemi  
Wadowickiej*



Cały świat  
jest w nas  
zdobywany w dzieciństwie  
odkrywany w młodości  
spliciony na dobre i złe  
w dojrzałości  
wątleje i blaknie  
w starości  
zamyka go śmierć  
taka sama prawidłowość  
jak życie



Jest we mnie cisza  
wiosennego lasu  
i skwar południa  
dojrzałego lata  
niepokój świtu  
i niepewność nocy  
smutek szarugi  
i jaskrawość słońca  
Jest we mnie wulkan  
który nie wybucha

i pełna bólu  
nie stygnąca  
lawą



Od lat  
traktując siebie  
jako niewyczerpalne  
nigdy nie wysychające  
pulsujące mocno  
źródło  
ostatnio coraz częściej  
dostrzegam na dnie  
ciężko dyszącą  
związana z wysiłku  
zabę



Epilog:  
pchnięta  
ostatnim tchnieniem  
pryska  
bańka mydlana



W ciszy  
wiersze rozrywają skorupę  
i jak ślimaki  
pełzną  
wprost do ziemi  
zgodnie  
z przeznaczeniem



Wnioskowanie  
bezpośrednie:

być sobą  
nie znaczy  
być kimś  
czy być kimś  
można  
nie będąc sobą?

Obory, 1985



Gdyby skroplić sny  
w jak rozległej  
żyłabym przestrzeni  
ze ścian nocy  
rosłyby pałace  
wieczna tęcza  
ozdabiała niebo  
tylko skały  
siwo oszronione  
w zimny uścisk  
obejmują stopy  
bym nie mogła  
wzlecieć w sny skroplone  
bym nie mogła  
zalsnić pasmem tęczy  
i na wieczność  
zawisnąć na chmurach  
ciszy płatem  
opaść  
w śpiące miasto



Po ataku:

jeszcze jedna  
ocalona chwila...  
Która z nich  
będzie ostatnia?



Między nami morze  
tyle odpływów i przyływów  
że bez barometru określam  
czas sztormu i ciszy  
bez peryskopu  
zmiany na horyzoncie  
bez sondy  
miarę głębiny  
I trwam  
w rybackiej chacie  
z ręcznikiem  
w słońcu haftowanym





Pytanie egzystencjalne:  
Czy już codziennie  
mam być gotowa  
jak ptak  
do odlotu?



Każdy z nas  
nosi z sobą  
kłębek Ariadny  
tyle  
że służy nam  
w starości  
i wiedzy  
w labiryncie dni  
*ku tym najcięższym*



Nie wiem  
co groźniejsze  
jest w późniejszych  
latach  
obrastanie w tłuszcz  
czy w banał



Zanurzyć się  
w zieleni parku  
soczystą  
aż do bólu  
w świetlistość dróg  
gorącego piasku  
i lotnych cieni  
w kruchą młodość  
i krzepką starość  
Zanurzyć się  
w ciepło snu  
w ciepło śmierci  
Obory, 1985



Nie  
druciany schemat  
łachem okryty  
z bańką choinkową  
zamiast głowy  
ale  
kłębowisko węży  
w rozoranej ziemi  
nabrzmiąłym węzłem  
życie we mnie pędzi  
i boli  
jak pręga na skórze  
pod wieczór  
powrozem zadana  
rano zapomniana  
bo dzień na mnie czeka  
jak stęskniony kochanek  
w asfaltowej pustyni  
królewskiego miasta  
boję się  
węży w sobie

☆ ☆ ☆  
Dziękuję się z tobą  
wszystkim  
czego tknę  
co na drodze  
spotykam spojrzeniem  
wodą  
co rzeźwi  
powietrzem  
co żywi  
myślą  
co się rodzi  
I tak oto  
zawsze jesteś ze mną  
Moskwa, 29 V 1985



Krystynie S.

Boję się  
trąby powietrznej  
nad domem  
    nie zrywa dachu  
    nie rozwala ścian  
nie porywa żywych  
kaleczy silnych  
I najgorsze:  
nie omija klimatu  
    umiarkowanego



W gąszczu nocy  
zniknęła moja gwiazdka  
pośród kabli i przewodów  
krążymy niby w tej samej  
Galaktyce

ale jakże od siebie  
odległe

Wyciągam dłonie  
coraz bardziej się oddala  
Przyzywam sercem  
zaśniła na moment  
Wzywam milczeniem  
(zablokowane mam struny głosowe)  
Teraz sfrunęła  
Odnalazła mnie  
wśród kabli i przewodów  
I rozblęysła  
na styku anody z katodą



Krawędź  
lodowca  
wierzchołka góry  
brzegu wąwozu  
jest dotykalna  
do pojęcia  
i zmierzenia  
krawędź  
o której mówię  
nie ma wymiaru  
jest płynna jak tlen  
i cieńsza niż nic  
tkwi w nas  
jedynie czyjaś  
wyostrzona myśl  
i błyskawiczna  
decyzja  
może ją  
zarysować



Ach te moje  
wielbłądzie galopady  
codzienną saharą  
Powolny trucht oddechu  
oazy wizyt z fatamorganą  
zdrowia niby bliższego  
przecież ciągle  
nie do osiągnięcia  
burze piaskowe bólu  
jakiejś klapki  
bo nie zaskoczyła  
I zapachy zapachy  
Wręcz widać  
bogaty bukiet  
zapachów  
szpitalnej pustyni  
Jakże się zatem dziwić  
temperamentowi  
mego dromadera  
nawet śpiąc  
wierzga





Tylko milczące cierpienie  
budzi we mnie odzew  
Nie czuję go  
przy  
głośnych lamentach



Przywyknąć do starości  
jak do wiernego druha  
polubić śmieszności  
przywary i wady  
znosić cierpliwie ból i urazy  
wtedy i ona mądrym  
spojrzy wzrokiem  
uśmiech ci pośle  
błyszczący złotem  
pocieszy młodość:  
później przyjdę,  
potem...



Płynę po wzburzonym Styksie  
w indiańskim canoe  
bardziej oparta o prąd  
niż o nikle wiosła  
Płynę  
raczej ślizgam się  
po fali  
ciągle sterującej  
od prawego  
do lewego brzegu  
jeszcze tu  
ale już i tam  
Płynę  
przesmykiem nadziei  
z rozchybotanym sercem  
w indiańskim canoe



Człowiek wymyślił czas  
ale może go dotknąć  
tylko jako  
ziarnko piasku  
w klepsydrze  
Bo tak naprawdę  
i czas jest nadludzki  
i człowiek ponadczasowy



Kruche ze mnie naczynie,  
ale gdy spadnę —  
woda nie wycieknie.



Moja ręka  
i liść  
mają jednakowe żyłki  
cienkie  
jak pajęczne nitki  
Nie kłujcie liścia  
Z dłoni płynie krew



Cicha śmierć  
w porannym rozgwarze  
bez słowa  
bez ruchu  
w pełnym milczeniu  
Stuk pieczętki lekarza  
na karcie  
i koniec  
Wiem o nim za ledwie  
że podniósł  
o ileś kilogramów za dużo  
i upadł  
Najbardziej żałują go  
napoczęte kroplówki  
równocześnie skazane na śmierć  
I łóżko  
Wróci po dezynfekcji  
by usłużyć innym



Ustawiony przy kolejnym słupku  
w drodze ku nieskończoności  
zniesie człowiek serie volt  
(aby trwał)  
tony bomb medykamentów  
tłoczonych całymi dobami  
respirator unoszący oddech  
łamanie żeber  
wyłączanie kolejnych obwodów  
(dopiero teraz wiadomo  
jak ich wiele)  
i jeszcze to i jeszcze tamto  
A wszystko  
by upaść pod czyimś  
nieprzyjaznym wzrokiem  
zapaść w głąb  
rażony nieżyczliwym słowem  
1985-11-16



W pozycji horyzontalnej  
najlepiej widać  
dłonie  
i twarze  
chylą się nade mną  
mówią bez słów  
Głoszona prawda  
najczęściej nie dociera  
W pozycji horyzontalnej  
czuje się ją tylko  
jak zapach  
i ciepło  
albo zimno  
1985-11-12



Patrzyłam  
jak moje serce  
wędruje do nieba  
skokami  
sunąc po linie  
ku wysokiej skale  
błękitem zygzaków  
w tafli monitorów  
poprzez mgłę  
widziałam  
jak moje serce  
wędruje do nieba  
1985-11-12



Przywracający życiu  
nim znieczulą nas  
znieczulają siebie  
nie tylko zmieniają ubranie  
wdziewają rękawice  
mózgi uzbrajają w komputery  
wymieniają miary parametry  
ciśnienia proporcje  
rozumieją się bez słów  
reagując na każdy ruch  
kontaktują wyłącznie  
z rozciągniętym pod tlenem  
korpusem  
i aparaturą  
Niekiedy  
patrzą w okno  
z takim smutkiem  
z jakim żegna się  
umierający dzień





Na huśtawce  
Szkoda że huśtawka nie ta  
ani pora sposobna zabawie  
Jeśli fruwać to w górę  
a ja najczęściej wzlataję w dół  
niebo się tylko nade mną  
kołysze



stukot drewniaków  
werbli reanimacyjnych  
na ścieżynce  
dyżurka-sala zabiegowa  
sygnalizuje:  
życie wisi na włosku  
trzech minut  
błyskawice rąk i głów  
zieleń uniformów  
sapanie respiratora  
iskrzenie defibrylatora  
i cisza albo jęk  
Oto efekty zawracania  
z tamtego brzegu

uchwycenie nitki  
w ostatnich sekundach  
nim znieruchomieje mózg



Przez tyle lat  
wiązaliśmy nitki  
tkali barwne i szare  
desenie

Nitki słabe i silne  
jakże często zrywane  
razem ze skórą

A jednak  
wszystkie  
bez względu  
na fakturę  
zwinęły się  
w węzeł gordyjski  
nie do przecięcia  
przez żadne z nas  
chyba...

I wykazał to  
moment pożegnania

1985-11-14



Burza strzaskała drzewo  
zerwała koronę  
stoi jeszcze pień  
korzeniami wszczepiony w ziemię  
ale już ślepnący  
i usychający bez światła  
Wyrwą go z korzeniami  
bo kaleczy horyzont  
jak spróchniały ząb  
1986-04-10



Kiedy zamykam oczy  
wędruję tęczą  
po obręczy nieba  
tyle różnych barw  
tkwi pod powiekami  
I nie chcę otwierać oczu  
aby nie ujrzeć  
ciemności  
na placzu padole



Nie zmieni się  
istota słów  
choćby je sklejać  
w najwymyślniejsze zestawy  
zbrodnia i kara  
miłość i śmierć  
I tak oto  
nawet budowanie  
snu na jawie  
ma swoje granice



Myślenie o przyszłości  
coraz krótsze  
pojedyncze dni  
osobne i niepowtarzalne  
jak puls mierzony  
w wolnym rytmie serca  
zima i lato  
na skórze  
przy zmianach jego tętna



Cień pożegnania  
pada na złoty deszczyk  
(to taki wesóły, żółty krzew  
najwcześniej zakwitający)  
cicho zasypia wieczór  
jeszcze ciepły  
po pogodnym dniu  
wiruje firanka na wietrze  
i w górze leci samolot  
tyle życia zatonię  
w mroku nocy  
i nie wszystko  
obudzi się znów  
Nigdzie tak jasno  
nie widać przemija-ia  
jak w szpitalnej sali  
choćby szeroko otwarte okna  
codziennie witały wiosnę  
i słońce i złoty deszczyk  
na parkowym klombie  
1986-04-10



Ujrzeć głęboki śnieg  
zapaść się weń  
                    po szyję  
Łowić słońce  
wpadające do Wisły  
                    wieczorem  
Iść ulicą Czarodziejską  
podczas jesiennych  
                    cudów  
Widzieć rozkwitłą różę  
                    w ogródku działkowym  
Dotykać Twych dłoni  
                    o świcie  
Jak łatwo sprowadzić marzenia  
do wspólnego mianownika: życie

## SPIS WIERSZY

- ☆ ☆ ☆ (Cały świat)
- ☆ ☆ ☆ (Od lat)
- ☆ ☆ ☆ (Jest we mnie cisza)
- ☆ ☆ ☆ (Epilog)
- ☆ ☆ ☆ (W ciszy)
- ☆ ☆ ☆ (Wnioskowanie)
- ☆ ☆ ☆ (Gdyby skropić sny)
- ☆ ☆ ☆ (Po ataku)
- ☆ ☆ ☆ (Między nami morze)
- ☆ ☆ ☆ (Pytanie egzystencjalne)
- ☆ ☆ ☆ (Każdy z nas)
- ☆ ☆ ☆ (Nie wiem)
- ☆ ☆ ☆ (Zanurzyć się)
- ☆ ☆ ☆ (Nie)
- ☆ ☆ ☆ (Dziękuję ci z tobą)
- ☆ ☆ ☆ (Boję się)
- ☆ ☆ ☆ (W gąszczu nocy)

- ☆ ☆ ☆ (Krawędź)
- ☆ ☆ ☆ (Ach te moje)
- ☆ ☆ ☆ (Tylko milczące cierpienie)
- ☆ ☆ ☆ (Przywyknąć do starości)
- ☆ ☆ ☆ (Płynę po wzburzonym  
Styksie)
- ☆ ☆ ☆ (Człowiek wymyślił czas)
- ☆ ☆ ☆ (Krucze ze mnie naczynie)
- ☆ ☆ ☆ (Moja ręka)
- ☆ ☆ ☆ (Cicha śmierć)
- ☆ ☆ ☆ (Ustawiony przy kolejnym  
słupku)
- ☆ ☆ ☆ (W pozycji horyzontalnej)
- ☆ ☆ ☆ (Patrzyłam)
- ☆ ☆ ☆ (Przywracający życiu)
- ☆ ☆ ☆ (Na huśtawce)
- ☆ ☆ ☆ (Stukot drewniaków)
- ☆ ☆ ☆ (Przez tyle lat)
- ☆ ☆ ☆ (Burza strzaskała drzewo)
- ☆ ☆ ☆ (Kiedy zamykam oczy)
- ☆ ☆ ☆ (Nie zmieni się)
- ☆ ☆ ☆ (Myślenie o przyszłości)
- ☆ ☆ ☆ (Cień pożegnania)
- ☆ ☆ ☆ (Ujrzyć głęboki śnieg)



Okladkę zaprojektował Robert Piejko  
Zredagował Mieczysław Mączka

Czcionką silesia na linotypie składali  
Janusz Boczoń i Edward Warchoń; dru-  
kował Roman Cyculeńko pod kierowni-  
ctwem Tadeusza Warchoła; pieczę re-  
dakcyjno-typograficzną sprawowała Kry-  
styna Mrowca. Oprawy introligatorskiej  
dokonano w pracowni Bogusława Wy-  
drycha w Krakowie

Copyright by Anna Kajtochowa

Nowy Sącz, 1986

Printed in Poland

Oficyna Wydawnicza Związku Podhalań

Nowy Sącz — 1986

Wydanie pierwsze, nakład 1000 egz.

Ark. aut. 0,5, ark. druk. 1,0

Oddano do składania we wrześniu 1986

Druk ukończono we wrześniu 1986

Drukarnia Narodowa, Z-10 w Gorlicach

Zam. 1984-86 A-21-962

Cena 100 złotych